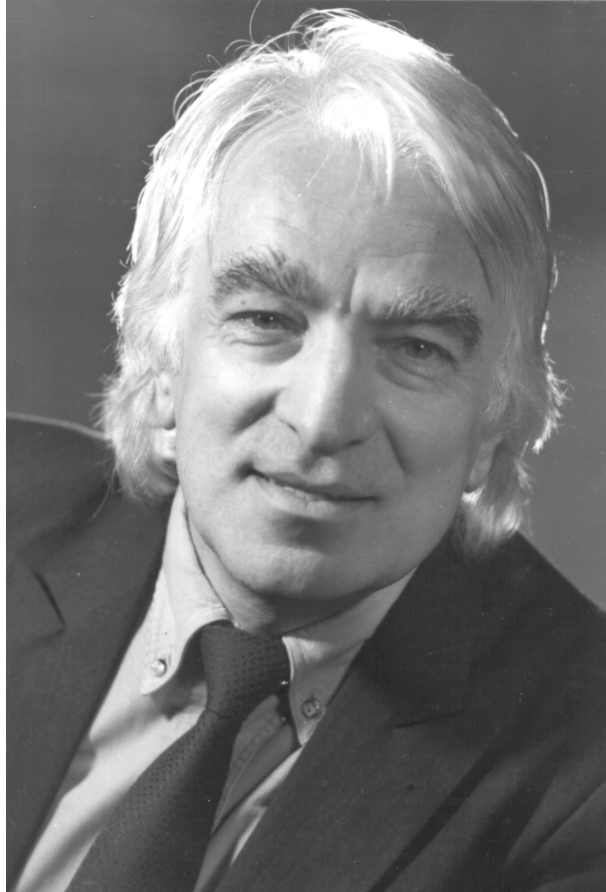


Pisanie czyni z wiedzy święto

## O ŻAR SŁOWA I MYŚLI ROZSĄDEK



FOT. CZESŁAW LUNIEWICZ

rozmowa z prof. Czesławem P. Dutką,  
krytykiem, teoretykiem  
i historykiem literatury

literatury. Balzak wprowadził nawet w podziw takiego Marxa czy Engelsa; nasz szacunek zaś dla stylistycznego warsztatu i znajomości przeżyć kobiecych (bovaryzmu) budzi nadal stary kawaler Flaubert, autor *Szkoły uczuć*. Byłbym więc za przewycięzeniem tej schizmy i apelowałbym o ponowne połączenie się w dobrym pisarstwie choćby literaturoznawców i socjologów.

Mam wrażenie, iż w swoim skromnym dorobku literaturoznawczym poczyniłem pewne w tej mierze kroki, godząc w postulacie „interakcjonizmu poznawczego” (praca z 1990 r.) te dwie opcje – role badacza i krytyka, ale i eseisty. W przypowieści zaś nt. „ogrodu nauk”, kończącej obszerną monografię, odwołuję się do tych sfer/sił literatury oddających ludzkie przeżycia, jak siła wolności, że wskazuję czytelnikowi-znawcy na trzy kategorie estetyczne przyporządkowane greckim pojęciom *mimesis*, *semiosis* i *mythos*. Ponieważ tekst literacki stanowi rzeczywistość myśli i przeżyć, pisanie o nim jest dyskursywnym wypowiedaniem, które eksponuje miejsce i energię podmiotu poznającego. Dlatego „pisanie czyni z wiedzy święto” – tak to odczuwam i obecnie.

*Panie Profesorze, Pana pasją i zawodowym zajęciem jest książka literacka, dziedzina która sytuuje się w sferze i nauki, i sztuki zarazem. I jakkolwiek oba zjawiska można umieścić w obszarze kultury, a ich wspólnym wyróżnikiem jest działalność twórcza, to w pierwszym przypadku będzie to surowy racjonalizm, w drugim zaś - duchowy świat doznań, człowieczych namiętności, głębi przeżyć. W jaki sposób w literaturoznawstwie godzi się te tak różne sfery ludzkiej aktywności?*

Odnawia Pan tym pytaniem stary zachodnioeuropejski spór między dwiema grupami intelektualistów: literatami (pisarzami i krytykami) z jednej, a przedstawicielami nauk społecznych, głównie socjologami, z drugiej strony. O ile ten spór między chłodnym rozumem („surowym racjonalizmem”) i kulturą u c z u c i o w ą tworzył *topos* konkurencji nauk społecznych i literackich, nie ograniczał się tylko i dziś nie ogranicza do dziedziny publikacji naukowych i literackich. Kładzie to swe piętno i na naszych prywatnych i publicznych biografiiach.

Pamiętamy o balzakowskiej pozycji naukowej, jego przedłużeniu u przyrodnika Buffona; było tam coś z gry. Z kolei u galernika stylu Flauberta liczy się dystans i powaga – n i e c z u ł o ś ć (*impassibilité*), którą demonstrował, co było przenoszeniem maksymy badań do

*Jeśli wierzyć statystykom – Polak trzyma w ręce książkę raz w roku. I to zaledwie jedną. Mamy coraz więcej ludzi wykształconych, środowisko inteligencji przyrasta coraz szybciej. Jak Pan sobie tłumaczy ów paradoks, skoro zawsze człowiek chcący uchodzić za wykształconego i „kulturalnego” musiał być odczytany?*

Do owych danych statystyków mógłbym dorzucić swój zawodowy sceptyzm. Ludzie nie kupują i nie czytają, bo nie mają nawyku czytania książki jako potrzeby życiowej... Do czego naturalnie nikt się nie przyzna, niczym do braku rozumu, powiada się więc o drożyznie książki, co jest prawdą, ale i prawdą jest to, że brak naszym inteligentom, ba, studentom polonistyki, nawyku bywania w księgarniach. Niekoniecznie dla kupienia książki, tylko dla wzięcia jej do ręki – pomacania, powąchania.

Z obserwacji uczestniczących wiem jedno: wielu moich uczonych kolegów nie zdarzyło mi się n i g d y spotkać w niezłych przecież księgarniach miasta. I nie sądzę, żeby się zaopatrywali gdzie indziej, widać czytają już tylko swoje własne teksty... A bywałem często, bardzo często w księgarniach, gdy mieszkiał tu na stałe; teraz bywam sporadycznie, a tam w pokopalnianym mieście raczej likwiduje się księgarnie, biblioteka publiczna już nie uzupełnia księgozbioru, bo nie ma pieniędzy.

I to jest zbrodnia na kulturze! Świat zachodniej cywilizacji ucieknie nam i w tym obszarze. Paryskie księgarnie bywają czynne do północy, znam taką i w okolicach krakowskiego rynku. Francuskiego studenta często również nie stać na kupno książki, ale on przynajmniej wie, że taka istnieje. Naszego studenta polonistyki nie spotkasz w księgarni; przy egzaminie tegorocznym z poetyki i teorii literatury przeżywałem istne katusze: nieoczytanie w literaturze przedmiotowej i luki erudytyjne były przerażające, czułem się obrażony i poniżony.

Jak Pan wytłumaczy mi ten paradoks?!

*Zgodzi się Pan zapewne ze mną, że przeciętny odbiorca twórczości literackiej nie kieruje się ocenami krytyki czy tym bardziej badaczy literatury. Traktuje dzieło jako wytwór autonomiczny, podlegający wyłącznie własnej ocenie. Trywializując – uznaje je za interesujące i wartościowe – z tych czy innych względów – lub nie. Jeśli zdaje się na wybór nowości, to może zajrzy na listę bestsellerów, a tylko nieliczni czytają recenzje.*

Zgadzam się z Pana diagnozą zachowań czytelników. Jeśli jednak mówi Pan o nielicznym, którzy czytają recenzje etc., to mówimy o elicie i w porządku. Dla kogóż bowiem ukazują się „Nowe Książki”, katalogi wydawnicze, specjalne dodatki o książkach inteligentkiej „Gazety Wyborczej” i liberalnej „Rzeczpospolitej”, audycje w publicznej TV o 23<sup>40</sup> nt. „dobrych książek” jeśli nie dla kręgów elitarnych – smakoszy i zniewolonych pożeraczy książki? A wrześnie targi? Sam, jako autor, brałem udział we wrocławskich targach książki akademickiej. I byłem rad i wielce usatysfakcjonowany.

Nie ma powodu do jęremiad, wydawcy robią swoje. Promocja *Pielgrzymy* Coelho (taki modny, jak ich wielu, pierwszorzędnie trzeciorzędny beletrysta brazylijski!) z udziałem autora, kosztowała kilkadziesiąt tysięcy, widocznie się opłaciło. I ludzie ulegli, kupili. Potrzebne im były recenzje?

*Z drugiej strony trudno odmówić przyznania racji, kiedy pisze Pan, że literatura nigdy nie istniała w neutralnym królestwie tekstów. Już w szkole podstawowej dziecko jest uczone interpretacji dzieła literackiego, szukania głębszych sensów, związku z epoką, w której powstało. Wcale nierzadkie są próby reinterpretacji utworu po wielu latach od jego powstania. A czy takim celem służą np. spotkania autorskie, czy są raczej okazją do poznania „kuchni literackiej”, pretekstem do osobistego obcowania z kimś wielkim, znanym?*

Prowadziłem wiele spotkań autorskich: jako student organizowałem je we wrocławskim „Pałacyku”, np. z Broniewskim, Andrzejewskim, Buczkowskim, Pollakiem. I były to wyjątkowe doznania tak poznawczej, jak i innej natury, bo czysto towarzyskiej, bądź co bądź adepta pióra, za jakiego uchodziłem.

Potem, tj. w latach sześćdziesiątych, byłem inicjatorem i organizatorem Kłódzkich Wiosen Poetyckich i gościłem całą plejadę ówczesnych literatów, także wybitnych krytyków literackich. Do dziś widzę ich piękne inteligentne twarze, jakich już nie ma, pamiętam rozmowy – wyznania i żarty, np. o chęci zdobywania baru (z wyraźną aluzją literacką).

Jednakże rąbka swych tajemnic uchylali nieliczni, np. na moich lekcjach w liceum Adam Ważyk zdradzał

techniki swoich przekładów pieśni Horacego, a Mieczysław Jastrun – elegii Rilkego. Tu zaś prowadziłem m.in. spotkania z Olgą Tokarczuk, jedno z nich dla słuchaczy Uniwersytetu Poezji specjalnie pod kątem problemów warsztatowych uznanej pisarki.

Wspomnę już tylko o swojej wizycie u Czesława Miłosza w krakowskim domu poety, co filmowano i opisano w miejscowej prasie. Mój zakład w Instytucie Filologii Polskiej organizował z kolei wiele spotkań z uczonymi uniwersyteckimi i były to istotnie wtajemniczenia ważne dla młodych pracowników nauki.

*Czytelnik, który nie ma filologicznego wykształcenia zapewne jest gotów przysiąc, że krytyka literacka to swobodna impresja i swego rodzaju raport z wrażeń po lekturze dzieła. Tymczasem literaturoznawstwo to nauka jak każda inna – ze swoją metodologią i narzędziami. To Pańskie spostrzeżenie w książce „Mistrzowie i szkoły” i trudno się z nim nie zgodzić. Czy chciałby Pan rozgranaczyć rolę krytyka, badacza i historyka literatury? Czy taki podział może być „ostry”, skoro historyk literatury – tak mi się wydaje – może przyjąć rolę krytyka dzieła stworzonego w minionych epokach?*

Powiedziałbym dziś tak: krytyka to gra, metakrytyka jako kontrolowanie tej gry... Raczej gra ze sztuką słowa o dzieło, które znów może mieć coś ważnego do powiedzenia. Grę zmysłów zastępuje gra pamięci.

Literaturę zatem także uznaje się za rodzaj gry, której prawa obowiązują tylko na czas jej trwania, tj. na czas lektury, dyskusji o niej itp. Czy przenosi się owe reguły na życie? Absurd.

Do jakiej z gier należy literatura? Jaka jest tu rola (czy też role) krytyka, tego nieudanego twórcy? Służebna.

#### CZESŁAW P. DUTKA

krytyk, teoretyk i historyk literatury. Interesuje się socjologią wiedzy i metodologią humanistyki, prasoznawstwem. Pełnił szereg funkcji, m.in. członka Komitetu Nauk o Literaturze PAN, prezesa oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, przewodniczącego regionalnego Komitetu Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Profesor zwyczajny, kierownik Zakładu Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jest rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Wałbrzychu, założycielem i prezesem Wałbrzyskiego Towarzystwa Naukowego.

Autor książek, m.in. *Mit i gest. Bohater kordianowski prozy rozrachunków inteligentnych* (1986), *Literatura – badacz i krytyk. Wybrane role partnerów interakcji poznawczej* (1990), *Tancerz idei. Pisarz jako autor i świadek znaczeń* (1995), *Mistrzowie i szkoły. Szkice o tradycji literaturoznawstwa* (1998), *Maska i cień. Sympozja mickiewiczowskie* (1999). Jest też autorem kilkunastu artykułów, redaktorem prac zbiorowych (ostatnio *Gatunki okoliterackie*, 2002; *Norwid – nasz współczesny*, 2002). Współtwórca i honorowy rektor Uniwersytetu Poezji w latach 1995-1998.

Współredaktor pism studenckich (m.in. „Życie Uniwersytetu” 1955-1956) i publicysta (m.in. „Tygodnik Kulturalny” 1978-1981).

Oto autor *Kwiatów zła*, Baudelaire, wyznaje, że jego poezja jest wtórna i wysilona, że on sam nie ma talentu. Dzięki czemu przeczuwa swoją klęskę, że jako krytyk może być bardziej użyteczny, bo posiadał zrozumienie dla fenomenu literatury. W tym czasie nasz Piotr Chmielowski (a mamy u nas dobę pozytywizmu) jawi się jako „badacz ścisły, krytyk niepodległy”. I to za sprawą fran-

cuskiego polihistora Hipolita Taine'a, którego metodę badawczą przeszczepił. Taine bowiem odkrył możliwość wyjścia poza samą i m p r e s j ę krytyka w stronę tylko a n a l i z y , a to poprzez dopełnienie jej s y n t e z ą . Rodzi się badacz i historyk literatury... Oscylują oni do dziś między „wiedzą pustą a wiedzą dowolną”. Poczęto więc rozgraniczać role, szczególnie u nas. Choć – jak Pan sugeruje – nie jest to podział ostry, jeżeli „historyk może przyjąć rolę krytyka dzieła stworzonego w minionych epokach”, np. przeprowadza krytykę tekstu jako edytor. Zawsze jednakże były niepokoję delimitacyjne, co się dotyczy granic przedmiotu opisu, jak i odnośnie ról realizowanych (badacz-krytyk). Często bowiem bywa tak, jak w przypadku Kazimierza Wyki, że zajmując się literaturą współczesną bywał krytykiem, a badając literaturę modernizmu i pisząc monografię *Pana Tadeusza* (dwutomową *Rzecz o poemacie*) – r e a l i z o w a ł się jako badacz i historyk literatury.

Jedno jest pewne, iż te relacje tworzą pary i w dialogu poznawczym (nazywam to „interakcjonizmem”) budują porozumienia nt. dzieła jako przedmiotu opisu, interpretacji, analizy, rozbioru etc.

Tu odsyłam Pana do mej monografii nt. „wybranych ról partnerów interakcji poznawczej”, jak głosi podtytuł (II wyd., ss. 226-241 i dalsze), gdyż ograniczony czasem nie potrafię przystępniej i precyzyjniej ująć istoty frapującego zagadnienia.

***Co roku mamy plebiscyt i nagrody „Nike”. Ale wielka literatura – jak mówił Iwaszkiewicz – nie rodzi się na kamieniu, raczej jak z kamienia powstaje. Trudno więc przypuszczać, że co roku rodzi się arcydzieło. Co – Pana zdaniem – od powojnia aż do naszych czasów ma szansę wejść do kanonu klasyki literackiej? W Polsce i na świecie?***

Wymaga Pan ode mnie zgoła salonowych zachowań: zabawy w prorokowanie dla ułożenia kanonu. I to w czasach, gdy pisma, np. wspomniany miesięczny dodatek o książkach „Rzeczpospolitej”, zamieszczają swoje listy bestsellerów... „GW” natomiast raczy nas w tych dniach tytułem iście sportowym – *4:3 dla poezji*, gdzie mowa o finalistach tegorocznej nagrody literackiej Nike. Pośród nich jest dwoje noblistów, ale czy to są owi „nieśmiertelni” (wg francuskiej nomenklatury)?! Wątpię.

Proszę popatrzeć na losy noblistów od początku istnienia nagrody. Ilu z nich ostało się w naszej pamięci? Nie, nie będę ryzykował. Odsyłam Pana do bieżących numerów „Tygodnika Solidarność” (tam układa się „Ich kanon”), do prac Harolda Blooma, popularyzatorskich albumów Tomkowskiego itp.

Skłaniam się raczej ku pogładowi, iż kanonem kultury europejskiej nie są pojedyncze dzieła, lecz wartości. Kultura to uprawa wartości, wedle już cycyrońskiej definicji. A gdzie dla nas bije źródło wartości? W Biblii, tej księdze ksiąg najważniejszej i dla wierzących, i dla niewierzących – bo zawiera opis losu pojedynczego człowieka i zbiorowości oraz przejmujący opis skutków, jakie może spowodować naruszenie danego nam ongiś kodeksu praw i obowiązków.

Nie sposób pojąć literatury amerykańskiej bez znajomości wątków i topiki biblijnej. A jak tym kluczem od-

czytać naszą? Proponuję ankietę na łamach „Uniwersytetu Zielonogórskiego”, ożywi to akademickie pismo i pobudzi czytelników.

***Twierdzi Pan, że jakkolwiek pisanie nie sposób się nauczyć, to warto usiłować. I że można wiedzieć jak pisać skończywszy polonistykę i być nijakim literatem. I przeciwnie – nie wiedząc natomiast nic bądź mało o sztuce pisarskiej – móc w jednej linijce zamknąć, istotę poezji! Z ducha tych przekonań był Pan akuszerem, a teraz mentorem i opiekunem Uniwersytetu Poezji i Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, gdzie prowadzi Pan warsztaty pisarstwa kreatywnego. Przyznał Pan zresztą publicznie, że godnością, która najbardziej cieszy to stanowisko rektora tego uniwersytetu. Proszę powiedzieć, czy talent się po prostu ma, czy można go jeszcze rozwinąć, uskrzydlić?***

Dziękuję Panu za to pytanie i jego ekspozycję, świadectwo ocytania. W szczególności lekturze tomu esejów *Słowo peryferyjne* (1999) zawdzięcza Pan ten namysł o pisarstwie i talencie, gdyż tam umieściłem swój wykład inauguracyjny działalności Uniwersytetu Poezji, jak i tekst referatu, którym debiutowałem publicznie w tym mieście, mianowicie: *Kultura literacka – regionalność i role pisarza*. Ostatnio zaś wydrukowałem rozprawkę nt. tajemnic warsztatowych... Orzeszkowej. Jak Pan widzi, interesowałem się talentami różnej skali i był to przedmiot mych brzydkich myśli – zazdrości. Bo talent literacki albo się „po prostu ma”, albo też jest się tylko wyrobikiem. No tak, ale „talentyzm” był przedmiotem krytyki; wielu go zmarnowało, roztrwoniło, żeby wskazać przykłady Hłaski, Stachury, Grochowia.

Tak, ale jeśli się posiada w małym choć procencie ową „iskrę Bożą”, to 99 proc. katorzniczej pracy uczyni Cię pisarzem... „Idź za własnym, wewnętrznym światłem. Nie wstydz się szaleństwa” – powiada gdzieś beatnik Allan Ginsberg, autor *Skowytu*, jeden z tych „uskrzydłonych” talentów poetyckich.

***Literatura naukowa jest obarczona zwykle kostycznym żargonem specjalistycznym, ścisłość i precyzja jest ważniejsza niż sztuka stylistyczna. Tymczasem Pana książki, bez szkody dla logiki dociekań, cechuje wyrafinowana, kunsztowna elegancja wypowiedzi, subtelny humor, choć nie są to dla profana lektury łatwe. I budząca szacunek erudycja, łatwość poruszania się po wielu epokach literackich, gruntowna znajomość twórczości autorów je reprezentujących. Dlaczego w twórczości naukowej tak trudno znaleźć ową kulturę słowa?***

Zadał mi Pan kłopotliwe pytanie, poprzedzając je komplementem, za co dziękuję.

Tajemnice mojego pisania tkwią u mych mistrzów, po prostu sporo czytałem i pisywałem o nich. *Mistrzowie i szkoły* (ukazało się właśnie drugie, dopełnione wydanie), dedykowani prof. Trzynałdowskiemu, zawierają szkice o mych wzorcach: Wyce, Janion, Kijowskim... Proszę zauważyć, iż czołówka naszej literackiej humanistyki (a w drodze wyjątku dorzucę tu historyka sztuki, Mieczysława Porębskiego!) lokuje się gdzieś na pograniczu między zapleczem badawczym, którym się oni obudowali a potrzebą wyjścia poza krępujący gorset ze sprawami, które uważają za znacznie ważniejsze niż dyscyplina, jaką parają się z profesjonalnego musu.

Tak rodzi się wspaniała eseistyka Ryszarda Przybylskiego (tu dowolny tytuł!), Marii Janion (*Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi!*), Porębskiego (*Polskość jako sytuacja*). Ten ostatni wręcz twierdzi: „ja jestem wprawdzie naukowcem, ale bardziej bawi mnie pisanie obrazowe, literackie”. Otóż wskazuję Panu na istniejące tylko rodzime precedensy dbających o „elegancję wypowiedzi”. Myślę, że po nich przyjdą inni chcący być czytelnymi, tylko patrzeć.

Ci zaś z pokolenia Porębskiego, przyjaciela Różewicza i autora powieści *Z*, bądź młodszy, jak Michał Głowiński, przechodzą do prozy. I to zjawisko mieści się w kulturze zachodniej, że wskaże „powieść uniwersytecką”. Oto od lat na naszym rynku jest obecny Dawid Lodge, emerytowany profesor teorii literatury; gościł zresztą u nas w 1999 r. – mistrz powieści uniwersyteckiej. Wydał właśnie kolejną (*Myśląc*) o „małym światku” angielskiej prowincjonalnej uczelni ze wszystkimi jego układami towarzysko-erotycznymi.

Jak Pan widzi, będę i ja miał okazję po temu, by odpowiedzieć na niektóre z Pańskich pytań obszerniej – cierpliwości, do emerytury pozostało mi już niewiele lat.

*W zielonogórskim środowisku znalazł się Pan raczej z przypadku, kiedy został Pan pozbawiony pracy na Politechnice Wrocławskiej w stanie wojennym za wykłady o literaturze emigracyjnej i „rugowanie marksizmu”. Przypadek stał się przeznaczeniem, wrósł Pan w pejzaż kulturowy Zielonej Góry. Ukazała się właśnie publikacja „Trzydziestolecie polonistyki zielonogórskiej”. Początek dał jej Zakład Języka Polskiego na Wydziale Humanistycznym we właśnie utworzonej w 1971 roku Wyższej Szkole Nauczycielskiej. Czy zechciałby Pan spróbować naszkicować panoramę naszego środowiska i usytuować go na naukowej mapie kraju?*

Istotnie, gry determinant odgrywają w naszym życiu niepoślednią rolę, że „przypadek stał się (i moim) przeznaczeniem” – jak Pan to ujmuje. Ludzie ryzykowali przyjmując mnie do pracy, gdy radio „Wolna Europa” zachęcało do objęcia posady, ale miastu na polanie śródleśnej w ciągu 22 lat oddałem dług i pozostaje jemu wierny, choć tego już nie widać, jak i mnie na ulicach...

Czy mogę szkicować „panoramę naszego środowiska”, czego Pan się domaga? Nie, nie mogę, aczkolwiek z dystansu widzę je ostrzej. Mogę jedynie wiążąco i odpowiedzialnie mówić tylko o sobie i swym zespole, adiunktach i asystentce/doktorantce – czyli Zakładzie Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej, ale i po te dane odsyłam do obszernego *Informatora*, który wydaliśmy przed paroma laty na dziesięciolecie istnienia zakładu, tam jest wszystko o istocie naszej działalności i ambicjach naukowych.

Publikacji rocznicowej Instytutu nie znam, nie otrzymałem jeszcze autorskiego egzemplarza; tyle że przypuszczam, iż „imperializm językoznawczy” tam dominuje, jak i o ileś kadencji za długo trwające rządy tej samej formacji (do której niestety przynależę). Gdy tymczasem tzw. „klasyczna polonistyka” w nauczaniu poniosła raczej fiasko. Daremnie z konferencji metodycznych przywoziłem projekty i nakłaniałem do zmian, tj. do wprowadzania alternatywnych programów etc. Słychać było jeno szelest papieru, obserwowałem dalsze



WIZYTA U NOBLISTY, WRZESIEŃ 1997 (FOT. JANUSZ KONIUSZ)

„odpersonifikowanie” relacji międzyludzkich i trwanie w uporze, który paraliżował, bądź wywoływał animozje lub idiosynkrazje.

Mamże szkicować dalej?!

*W kręgu Pana zainteresowań naukowych jest również prasoznawstwo. Po 1989 roku dokonana się w środkach społecznego przekazu rewolucja wcale nie mniejsza niż w całej strukturze ustrojowej. Wartością niewątpliwą jest wolność słowa. A czego zabrakło?*

Owszem, wykładałem podstawy wiedzy o prasie w świetnie zorganizowanej Katedrze Komunikacji Językowej i Społecznej i były to miłe doświadczenia dydakty, sporo nauczyłem się od chłonnych studentów. Ponadto: w czasie swoich studiów byłem członkiem redakcji „Życia Uniwersytetu” (wrocławskiego, wtedy im. B. Bieruta!) i debiutowałem tam wierszem *Noc*, któremu patronował naczelny, Tymoteusz Karpowicz (dziś emerytowany profesor amerykańskich uniwersytetów), czołowy wówczas (1955!) poeta-lingwista, dramaturg.

Był czas „odwilży” (termin z tytułu poczytnej wówczas powieści Erenburga) i zbliżał się październik '56, dławila nas perspektywa wolności słowa. Pismo wkrótce jednak cenzura przymknęła, ale proszę pamiętać, że i zielonogórski cenzor jeszcze w 1986 r. biedził się nad moim *Mitem i gestem* zanim dopuścił książkę do druku, a kilka lat wstecz (w stanie wojennym, którego byłem ofiarą!) cenzor wrocławski długo czytał mój artykuł *Heroizm bierności* („Odra” 1983, nr 2), natomiast w tygodniku „Wiadomości” z trudem pomieścić mogłem polemiki z ortodoksyjnym marksistą... Jak Pan więc widzi, znam cenę wolności słowa pisanego, choć nie tylko... Głosiłem bowiem prelekcje, dopuszczany na partyjne konwentykle, nt. wolności słowa (sic!), miałem wykłady z literatury emigracyjnej, która była emanacją wolności słowa w dniach strajku. Dyskutowałem z czasem, gdyśmy się zachłystywali wolnością, formułę starego Modrzewskiego: „Wolność to nie znaczy dowolność czynienia”. Dziś chętnie podnoszę tę myśl Frycza, a to dlatego, że frymarczy się słowem – nadużywa w sejmie, na ulicy, w mediach. Czyli w tzw. „życiu publicznym”, co

tworzy zamęt i stan anarchii. Ale też elokwentni przedstawiciele władzy (i nie tylko ci z „partii władzy”, jak sami się definiują!) używają publicznego telewizora (I programu!) i gazet dla szerzenia tego stanu, który zwą demokracją, a jest to „partiokracja”, gdyż nie mamy przesadnego w tym udziału.

Niech Pan posłucha: „rządy telewizora nad plebsem to nie jest demokracja, tylko nowa, potąd jeszcze nie opisana, a nawet nie nazwana i nie rozpoznana praca totalitaryzmu”, że zacytuje mojego znakomitego kolegę, Jarosława Marka Rymkiewicza.

No więc cośmy zrobili z tą wolnością?! Co nam zostało? „Ostał nam się jeno sznur”!? Wrzask piwoszy w karczmach (pardon: w pubach!), ale może ten krzyk (*liberum veto!*) pozwoli nam przetrwać?

Czego zabrakło, pyta Pan? Konsekwencji i dobrego przywództwa, jemu zaś szacunku dla słowa i dla nas, wyborców. Trybun ludowy, który ziścił postulat Lenina, stał się swoją karykaturą w słowie i czynie, a tak go uwielbiałem! Jego akolici i popiecznicy z „dowolności czynienia” zrobili zasadę, „falandyzując” język prawa.

Czytajmy od nowa kpiarskie wiersze Galczyńskiego i *Trans-Atlantyk* Gombrowicza, a znajdziemy się na powrót w aurze barokowego nadużycia słowa – w środku sarmackiej burdy oraz błazenady i pure nonsensu. Czy będzie to remedium na ten stan Rzeczy, wątpię. Ale przynajmniej będziemy znów w „centrum polszczyzny”, bo jakże wspaniałym językiem napisana jest emigracyjna powieść Gombrowicza, i jak pięknie brzmi dziś wiersz mistrza Ildefonsa na tle zalewającej nas grafomanii, szmiry i tandety językowej.

***Jak Pan patrzy na zjawiska kultury masowej? Czy jest to wyłącznie deprecjacja wysokich wartości czy też może podglebie, z którego wyrasta zainteresowanie dla głębszych potrzeb duchowych, które niesie obcowanie ze sztuką?***

Powiem wprost, acz wydać się to może konserwatywnym. Przerazającą rolę w upowszechnianiu tego „podglebia” spełniają media, ale i Kościół, gdyż idzie na łatwiznę – tak, na wyniesienie łatwizny i kiczu do rangi obowiązującego kanonu... Dotyczy to i muzyki młodzieżowej, i tego, co serwują podstarzałe a mizdrzące się do widza dyrektorki II programu TVP, który miał być ambitny.

Przyznam się bez wstydu, iż nie rozróżniam młodzieżowych zespołów, gdyż wszystkie grają ledwie kilka nut i podobnie. I upowszechniają grafomanię tekstową. Tymczasem dzieło sztuki winno mieć sens, zawierać przesłanie i posiadać wartość! Jak prawda i miłość. A z tym, co oglądamy i słyszymy, bywa beznadziejnie i skandalicznie – te instalacje wystawiennicze, ci ryczący i niechlujni soliści zespołów, owe „piosenszczyzny” pobożnych dziewczyn w kościołach czy też w czas pielgrzymki Ojca Świętego... Kiedy jednak na krakowskich Błoniach wykonano *a capella* pieśń Kochanowskiego *Czego chcesz od nas Panie?*, byłem autentycznie wstrząśnięty! Dlaczego nie śpiewa się tak na co dzień, pomyślałem, choć gości w świątyniach czarnoleski poeta już anonimowo, że przypomnę pieśń poranną i wieczorną. – Gdzie Bach, Gomółka?

Powie Pan, że schematyzm i powtarzalność (seriale!)

jest istotą wytwarzanych „produktów” kultury masowej, daje to bowiem łatwość percepcji. Zgoda, ale i dotyczy też powiedziane wszelkich dziedzin kulturowej aktywności: plastyki – wzorce malarstwa prymitywnego (Nikifor), osławione jelenie na rykowsku, *pop-art*; muzyki – szlagiery uparcie parafrazujące wątki muzyki poważnej (np. nadużywane fragmenty *Suity* Bacha i *VI Symfonii* Czajkowskiego), wielokrotnego wykorzystywania podkładu muzycznego (klasyka!) przy aktualizacji tekstu, itp.

I tak dzieje się w zgodzie z kartezyjską regułą „mundus est fabula”, mówiącej o powszechności „opowiadaniowych” potrzeb odbiorcy (dziś telewidza!) – wszak fabularność i narracyjność stanowią o mechanizmach kultury masowej. Stąd i konwencjonalizm wytworów tej kultury, który tak mnie irytuje.

Przypomni Pan wreszcie, że sam dałem podtytuł swej książce nt. powojennych powieści rozrachunków inteligentnych: *Schemat kordianowski bohatera...* Otóż schematy nie są własnością tylko kultury niskiej, gdyż wcielają je w kulturze wysokiej (np. romantyzmu) a r c h e t y p y, stąd nadtytuł rozprawy: *Mit i gest* (1986). Może więc jestem niesprawiedliwy: sztuka popularna wszak osłania nas przed alienującym światem, światem iluzorycznych przeżyć i pozwala tym samym na obcowanie z wartościami podstawowymi, już oswojonymi. Dzieje się tak ciągle (*da capo*), niczym w nużącej powtarzalności sytuacji życiowych, ich kłopotliwych bądź łatwych rozwiązań; schematyzm przyjmijmy więc jako immanentną cechę tak świata przedstawionego, jak i tego z „rzeczywistości skrzeczającej”. Co orzekł już dawno Wyspiański, nasz narodowy mitotwórca, który podniósł popularne do rangi narodowej kadzi, że zgoła myślimy i mówimy jego zbitkami słownymi („skrzydlatymi słowami”).

Może jest więc tak, jak Pan sugeruje w swym pytaniu? Bądźmy jednakże ambitni i patrzmy w stronę tradycji, a pijmy ze źródeł tego podglebia, gdzie wciąż „woda czysta i trawa zielona”.

***Jest Pan szachowym mistrzem Polski nauczycieli, także trenerem tej dyscypliny. A to świadczy, że to nie tylko zwykłe hobby, ale coś więcej. Sztuka, literatura zwykle nie kojarzą się z rygiem ścisłej kalkulacji, budowania strategii. Choć obie „dyscypliny” są grą wyobraźni. Idę właściwym tropem?***

Tak, jakże trafnie Pan to ujął. Owszem, szachy to splątanie wyobraźni (element sztuki), rygorystycznego myślenia (element nauki) i sportu. Trzeba studiować teorię i praktykę, nie tylko starych mistrzów, władać zatem dobrą i usługną pamięcią, mieć niezbędny refleks – giętkość myślenia. I styl, repertuar otwarć... Jak w życiu i w sztuce, bo szachy są ich modelem i probierzem.

Podam trzy ubiegłowieczne przykłady: Prokofiew i Duchamp, mistrzowie szachów. Ten ostatni był nawet francuskim olimpijczykiem. Pierwszy namiętnie grywał (mecz z Ojstrachem!) i znał doskonale teorię, służył jego partiami. Dalej: Nabokov i jego szachowa problemistyka (zob. ostatni sierpniowy numer „Europe d'checs”), ale i znakomita powieść *Obrona Łużyńska* (1930), którą stawiam obok *Noweli szachowej* Stefana Zweiga i *Tempa* Camille'a Bourmiquela.

Jak Pan widzi: szachy to „coś więcej” nie tylko dla mnie. A pominąłem Arrabala, Becketta, Borgesa, Cocteau, Faulknera... Wystarczy?

*A zerkna Pan czasem na odleglejsze obszary wiedzy? Co w innych naukach fascynuje Pana najbardziej?*

A tak, popatruję nie bez zazdrości i przerażenia. Np. w stronę dynamicznych nauk przyrodniczych (genetyki), ale już bez entuzjazmu w stronę nauk społecznych, w których naukowość powątpiewam. Uprawiałem wszakże sam socjologię nauki, wykladałem i prowadziłem seminaria. W moich pracach literaturoznawczych widoczne tamto doświadczenie – w sferze języka, metody. Dlatego ciągle chętnie czytam Baumana, którego osobiście poznałem, ale i wracam do Zimana... Bliżsi mi są i Popper (nie mylić z Potterem!), i Rorty, którego przyswoił polszczyźnie mój nowojorski przyjaciel. Studiuję dalej mętnego Derride, namiętnego i tragicznego Barthesa, erudowanego Eco – choć to już literaturoznawcy z biblioteczej Wieży Babel.

Co wszak mnie w nich fascynuje? Swoisty, iście pisarski „zar słowa i myśli rozsądek”, symbioza tak trudna do osiągnięcia w naszych pracach, choć sam usiłowałem te sfery ontyczne pogodzić.

*Co – poza szachami – stanowi przedmiot Pana pozazawodowych pasji. Jak Pan wypoczywa ?*

Ależ szachy, choć już dawno nie uprawiane wyczerpująco, stanowią nadal pasję iście błędmierską! Nie ma wieczoru, coraz częstszych bezsennych nocy bez ich analizy. Komentowałem ostatnio swoje wybrane partie dla książki zbiorowej mistrzów kraju nauczycieli; dla wspomnianego czasopisma francuskiego „Europe d'checs”, gdzie rok temu ukazała się w dziale szkoleniowym moja najcenniejsza kombinacja, *nb.* w zacnym towarzystwie Alechina. Drukowałem w biuletynie szwedzkim

partie grane rzadkim debiutem I.b4 itp.

Jak wypoczywam? Odkryłem w sobie na powrót chłopską duszę – sadzę drzewka, krzewy, kwiaty pod okiem siostry, mam potrzebę udoskonalenia wałbrzyskiego domu, porządkowania i pomnażania własnych (i uczelnianych) zbiorów bibliotecznych, gdy mój księgozbiór (typowego humanisty eklektyka) ma wreszcie wspaniałe warunki w gabinecie o iście „epickim oddechu”... Tu znajduję kojące azylum.

Ciągle sporo czytam: dwa tytuły pism codziennych i kilka tygodników, tudzież parę tytułów miesięcznych, np. stale „Twórczość” iwaskiewiczowską w formule od 1953 r. (sic!). Ponadto: gromadzę i namiętnie czytam pisarskie dzienniki, wspomnienia, listy – co usprawiedliwia w dobie upadku epistolografii, kiedy pospiesznie używamy łącz elektronicznych.

Śledzę nowości nie tylko literackie i czytam fabularystów rodzimych i obcych. To pośród tych ostatnich mam swoich ulubionych autorów: Iris Murdoch, Barnes, Peveret, ale i nasz Odojewski ze względu na tematykę ukraińską.

Urlop roztrwonilem w drodze pomiędzy remontowanym domem a biurem, realizując mimo woli zasadę: kiedy nie masz czasu, dodaj sobie obowiązków...

*Panie Profesorze, wypada wyrazić żal, że swe pasje życiowe dzieli Pan teraz między dwa miasta – Zieloną Górę, gdzie jest Pan ciągle trwałym znakiem miejscowych ambicji kulturowych oraz wysokiej próby humanistyki uniwersyteckiej, i Wałbrzych, gdzie założył Pan jedyną w tym mieście państwową uczelnię. Dziękuję za rozmowę.*

rozmawiał Andrzej Politowicz

P r a c o d a w c y s z u k a j ą m ł o d y c h , a l e z d o ś w i a d c z e n i e m

## G R A S Z O S T A Ź

Tak nazwana została niezwykle pożyteczna akcja *Gazety Wyborczej* i firmy PricewaterhouseCoopers, największego w Polsce konkursu dla studentów i absolwentów, mającego na celu wykorzystanie wiedzy, zdobycie nowych umiejętności i tak poszukiwanego przez pracodawców doświadczenia zawodowego. W VIII edycji konkursu „Grasz o staż” laureatką została **Karolina Napieralska**, tegoroczna absolwentka *politologii*. Organizatorzy podkreślili, że wykazała się doskonałą wiedzą merytoryczną i bardzo dobrą umiejętnością rozwiązywania problemów z zakresu dziedziny studiów, pokonała liczną konkurencję, co zapewniło jej miejsce w gronie 130 laureatów (spośród 1600 uczestników konkursu) oraz praktykę umożliwiającą zdobycie cennych doświadczeń zawodowych.

Gratulujemy laureatce zdobycia prestiżowego stażu, wysokiej oceny jej wiedzy i umiejętności.

Przypomnijmy, że laureatką edycji '2000 została studentka **Monika Socha**, dziś mgr sztuki, tegoroczna absolwentka Wydziału Artystycznego, która o zdobywaniu doświadczenia zawodowego pisała w wydaniu

z lutego '03 naszego miesięcznika. Dziś Monika jest związana z Wydziałem Artystycznym, na razie tylko w ramach godzin zleconych oraz coraz częściej współpracuje z naszą redakcją. Poniżej motyw graficzny do jednego z zaproszeń.

ap

